

Z życia akademickiego

Panom rektorom ku rozwadze

Motopompa nie zastąpi autorytetu

Ze swego założenia wyższe uczelnie są to instytucje, których naczelnym zadaniem jest dać Polsce zastępy ludzi, którzy będą zdolni prowadzić wszelkie dziedziny życia, a poza tym wyższe uczelnie mają być przybytkiem wiedzy, warsztatami, z których wychodzić mają nowe zdobycze nauki.

Ażby można było na uczelniach spełnić te dwa postulaty, musi na nich panować także i odpowiednia atmosfera.

Dużo się o tej atmosferze nauki mówi i pisze. Temat ten zdaje się być dostatecznie przedyskutowany i zdawałoby się, że nie pozostaje łatwiejszego do zrobienia, jak te wszystkie omówione zasady w życie wprowadzić.

Jednakże życie wykazuje, że mówi się co innego, a co innego w życie wprowadza.

Wczymś bodaj jedno z zagadnień tej atmosfery — kwestię autorytetu profesorów i władz akademickich.

Nie trzeba zdaje się nikomu uzasadniać, że ci, którzy swą wiedzę przekazywać mają następnym pokoleniom, ci, którzy mają tworzyć nowe zdobycze wiedzy, muszą być otoczeni aureolą powstającego szacunku, szczególnie młodzieży akademickiej i to nie tylko jako jednostki zasłużone dla Narodu, ale w pierwszym rzędzie jako ci, którzy są uosobieniem wiedzy.

A jakimż autorytetem cieszyć się może rektor uczelni, ten najwyższy dostojnik świata nauki, gdy studenci widzą go biegnącego po gmachu uczelni z wiaderkiem wody, gdy inny rektor znów na terenie uczelni utrzymuje „oddziały”, złożone z wygimnastykowanych woźnych, gdy rektor mówi do studenta „Panie, pan jesteś bokser wprawdzie, ale ja jestem silniejszy i mogę pana pobić — pilnuj się pan!”.

To jest tylko maleńki fragment z wielkiego już niestety dzisiaj repertuaru.

Dodajmy do tego olbrzymi zapas „dostojnych” wystąpień wielu panów profesorów, jak rzucanie w twarz studentom indeksów za złą odpowiedź podczas egzaminu, obrzucanie ich stekiem epitetów za postępowanie w myśl innych zasad, niżby to odpowiadało panu profesorowi, liberałowi i ateuszowi i t. d. i t. d.

Wreszcie koroną wszystkiego i jednocześnie zewnętrznym wyrazem są zarządzenia porządkowe władz akademickich. A więc precyzyjna kontrola wchodzących, najrozsądniejsze kontrole, lotne przeglądy, wyznaczanie tras do przechodzenia, zakazy przynoszenia teczek, paczek i t. d.

Bezsprzecznie stan ten i zmiany, jakie zaszły na wyższych uczelniach, mają swe uzasadnienie. Uzasadnienie jest proste. Choćby o to, że młodzież akademicka ma swe dążenia, które

pragnie realizować, a którym władze najwyższe, to jest M. W. R. i O. P., a także wielu członków ciała profesorskiego stara się za wszelką cenę przeciwstawić.

Dochodzi więc do starć między dążeniami władz, a młodzieżą i... władze siłą pragną sytuację opłacać.

Jakie tego stanu są rezultaty, nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć.

Wystarczy zrobić zestawienie.

Sześć lat temu rektor wyższej uczelni miał jedno tylko narzędzie swej władzy — autorytet władzy rektorskiej. Uczelnia ani razu nawet na przeciąg jednego dnia zamknięta nie była. Praca naukowa przez cały rok płynęła zupełnie spokojnie.

W kończącym się obecnie roku akademickim rektorzy mają olbrzymie zastępy wyćwiczonych

woźnych, sztab urzędników do kontroli, oddziały policji uzbrojonej obok uczelni, a brakuje im ich zarządzeniom tylko... autorytetu i powagi. W r. bieżącym uczelnie ciągle były zamykane, a praca naukowa przez cały rok odbywała się w atmosferze zająć.

Te uwagi podajemy ku uwadze panom rektorom, teraz gdy zastanawiają się nad nowelizacją ustawy o szkołach akademickich.

Dziesięć lat pracy

Katolickiej Młodzieży Narodowej

Kiedy z górą dziesięć lat temu powstawała na terenie akademickim nowa organizacja: Katolicka Młodzież Narodowa, już sama jej nazwa była dla wielu niemożliwym do przyjęcia paradoksem. Długo wieczory dyskusyjne kursów kandydackich poświęcono uzasadnieniu tego, co jest już dzisiaj oczywiste dla całego młodego pokolenia — konieczności ścisłego związku i zespolenia polskiej idei narodowej z katolicyzmem. Paradoks ten Katolicka Młodzież Narodowa pierwsza miała odwagę uczynić hasłem naczelnym, podstawą swej ideologii.

Wkraczając na teren akademicki, jako organizacja ideowo-wychowawcza, stała się Katolicka Młodzież Narodowa społeczna szkoła charakterów, kształcąca intelekt, wyrabiająca samodzielność i gruntowność myślenia, hartując wolę, przymusem karnego spełnia bodaj drobnych obowiązków, do przyszłej pracy społecznej na szerszym polu. Stała się jedyną bodaj organizacją, gdzie nowo-wstępujący kandydat musi na sześciomiesięcznym kursie kandydac-

kim sam dojść do tych podstawowych założeń ideologicznych, które winny być prawdą oczywistą dla każdego konsekwentnego katolika i Polaka, gdzie każdy członek, którego działalność szczególnie omawiana jest na zebraniu wychowawczym, zmuszony jest do głębszego zastanowienia się nad właściwym kierunkiem pracy wychowawczej nad sobą. Dążąc do indywidualnego wychowywania jednostek zależnie od ich osobistych uzdolnień i skłonności, wpaja jednocześnie organizacja pewne poczucie odpowiedzialności za dalsze losy Narodu. W myśl zasady, że „rola organizacji polega przede wszystkim na przekazywaniu zbiorowości wartości już zdobytych przez jednostkę” (Dekl. ideowa 1928 p. III) obowiązkiem każdego członka K. M. N. jest wartości, zdobyte indywidualną pracą wnosić w życie polskie.

Celem pracy intelektualnej K. M. N. jest pogłębienie i ugruntowanie wyznawanej ideologii oraz wyrabianie sobie poglądu na najważniejsze aktualne zagadnienia

życia współczesnego, tak, ażeby jej członkowie mieli w każdej sytuacji zająć stanowisko konsekwentnego katolika i narodowca. Działalność organizacji ideowo-wychowawczej ogarniać musi wszystkie dziedziny zainteresowań, pełnię życia akademika polskiego. Pełnię tę pragnie osiągnąć Katolicka Młodzież Narodowa, prowadząc obok pracy intelektualnej, akcję społeczną w postaci działalności charytatywnej na terenie Akademickich Konferencji św. Wincentego a Paulo. Bezpośrednie bowiem zetknięcie się z życiem i potrzebami najszerzych i najbardziej potrzebujących warstw społeczeństwa jest najlepszą szkołą pracy społecznej, stanowiąc przytem pierwszorzędną czynność wychowawczą.

Po dziesięciu latach pracy Katolicka Młodzież Narodowa pragnie raz jeszcze spojrzeć na rezultaty minionego okresu pracy, wyciągnąć z nich wnioski i wytyczyć drogę na przyszłość. Wyrazem tego stał się obchód 10-lecia organizacji, który odbył się 18 bm. Na uroczystość tę złożyło się najbożestwo, celebrowane przez J. E. ks. biskupa Szlagowskiego w Akademickim Kościele św. Anny oraz uroczysta akademicka w Domu Katolickim, na program której złożyły się: rys historyczny K. M. N.

Przemówienia i ogłoszenie nowej deklaracji ideowej, opartej na zasadach etyki katolickiej i nowoczesnej myśli narodowo-radikalnej.

Aniela Krysińska.

Koncert fortepianowy
Michała Kondrackiego
w Filharmonii

W piątek, dnia 30 b. m. godz. 20.15 w sali Filharmonii Warszawskiej odbędzie się koncert symfoniczny z udziałem Willy Ferrero (dyrekcja) i Zbigniewa Drzewieckiego (fortepian), który wykona po raz pierwszy koncert fortepianowy czołowego kompozytora polskiego Michała Kondrackiego (sprawozdawcy muzycznego naszego pisma).

Z teatru o teatrze

Tajemnica powodzenia

TEATR MALICKIEJ — „MAŁA KITTY I WIELKA POLITYKA” KOMEDIA W 4-CH AKTACH STEFANA DONATA

Komedia ta w jednym z prowincjonalnych teatrów szła podobno zaledwie siedem razy. W teatrze Malickiej iść będzie zapewne dziesięć razy tak długo. Tak już jest bowiem, że temu sympatycznemu teatrowi prawie wszystko się udaje. Można by przyjąć hipotezę, że teatr Malickiej potrafił z najgorszej sztuki zrobić rzecz interesującą. Dowodem tego jest sposób, w jaki z mocno naiwnej i słabej komedii Donata zrobiono wcale przyjemne widowisko. Komedia Donata oparta jest na pomysły wcale dobrym: mała, głupiotka marnokurzystka, Kitty, skutkiem własnej rozbijającej naiwności i szerególnego zbiegu okoliczności wpłtuje się w grę interesów i intryg wielkich finansistów i przedstawicieli mocarstw, obradujących na konferencji gospodarczej. Powoduje to szereg komicznych nieporozumień, na których zresztą mała Kitty wychodzi jak najlepiej. Z pomysłem tym Donat nie umiał sobie jednak dać rady. Zamiast panować nad tworzonym przez siebie dziełem, uległ rozpędowi rozwijającej się konsekwentnie akcji, a ratując swój prestige — wpadł w gadulstwo. A jednak w teatrze Malickiej komedia wypada znośnie.

Uzyskany sukces jest wynikiem harmonizowania dwóch czynników: pracy reżysera i zespołu. Autor miał w tym wypadku najmniej do powiedzenia. Komedia wyreżyserowana jest bardzo dobrze. Zbyszek Sawan pokazał w tym wypadku rzetelny talent reżyserski, zwłaszcza reżyseria w ak-

cie 1-szym (w hallu hotelu) umiejętnie operowanie statystami i harmonizacja ruchów aktorów na scenie była zrobiona „na piątkę”. W pozostałych aktach również reżyseria nie szwankowała ani razu.

Zespół aktorski wykazał duży stopień zgrania i wycucia intencji reżysera. Na czele obsady stoi oczywiście Malicka, która objęła w tej sztuce rolę Kitty, najbardziej dla siebie odpowiednią. Toteż wydobyla z niej wszystkie akcenty rzetelnego humoru i uroku. Sekundował jej Włodzisław Ziemiński, który w roli sir Horace Ashlina był bez zarzutu, wykazując dużo kulturalnego umiaru, doskonale opanował mimikę i gesty, co przy jego wyrażnej dykcji sprawiło, że całość wypadła doskonale.

Na trzecim miejscu wymienić należy Zygmunta Biesiadeckiego, bardzo dobrego portiera Hubera, a następnie p. Relewicz — Ziemiński i Bay — Rydzewskiego, któremu można jedynie zarzucić zbyt „zamknięcie” do aktów apoplektycznych. Wojciech Wojciecki tym razem wypadł blade, jest to jednak wynikiem raczej słabej roli, którą mu powierzono, niż jakichś braków u tego naprawdę dobrego aktora. Na wyróżnienie zasługuje również Henryk Modrzewski, który ze zrozumieniem odtworzył sylwetkę sztywnego sekretarza angielskiego ministra oraz p. Helena Święcicka, grająca rolę sekretarki.

Dekoracje opracował Stanisław Kurman, wykazując dalsze postępy, zwłaszcza należy mu się pochwała za dekorację w akcie pierwszym i ostatnim.

Całość warta obejrzenia.

Stanisław Grzelecki.

Wesoły wieczór w teatrze 8.15
Wiktor i jej huzar

operetka w 3-ach aktach Abrahama

Któż nie zna uroczych, wesołych melodii operetki Abrahama „Wiktor i jej huzar”? Styszelśmy je i zapamiętaliśmy niemal od dzieciństwa.

Przypomni nam dawne, dobre czasy tych melodii ruchliwy „Teatr 8.15”, wystawiając utwór Abrahama z przyprawą aktualnych salatek. Warto też pójść zobaczyć wyborną grę Władysława Waltera — redivivus’a i posłuchać jego przepysznych dowcipów. Jest on bowiem duszą całego zespołu aktorskiego. Talent tego świetnego komika wzbudza powszechne wesołość. Wybornym jest W. Conti w roli pięknego c. k. huzara, przemitym roztrzępłym młodzieńcem — Rakowiecki. Uroczą Wiktorie kreuje śpiewaczka o niezbyt miłym głosie Mary Didur — Żalaska; mężem jej jest nieco za sztywny p. Olgiard.

Głównym jednak motorem całego przedstawienia jest znakomita tancerka Loda Halama w roli pokojówki Riquette. Jej to szampański humor sprawia, że do niezłej gry całego zespołu dołącza się dynamika szalonego temperamentu scenicznego utalentowanej artystki, co w rezultacie grozi rozsadzeniem skromnych ramek scenki teatru. Loda Halama odnalazła swój żywioł i widać, że czuje się w nim doskonale. Zbiera ona huczne oklaski i niemiłą brawa wraz ze swoimi partnerami do tańca, którymi są już to — W. Walter (108 kilo żywej wagi,

jak sam to zakomunikował!) to znów zdolny tancerz i aktor Rakowiecki. „Ta niec rosyjski” musi Halama powtarzać na żądanie publiczności, jak również czardasza i szereg innych doskonałych numerów.

Publiczność bawi się dobrze, śledząc fantastyczne perypetie młodego huzara — Contiego, zarczonego z piękną Wiktorą jeszcze przed wojną i zbiegłego z niewoli rosyjskiej, aby się spotkać ze swoją ukochaną — ale już jako żoną innego człowieka. Wspomniałmyśność tego ostatniego rozwiązania trudną sytuację obojga i wszystkich kończy się pomyślnie, jak przystało, w klasycznej operetce.

Zreca reżyseria Zdzitowieckiego dopełnia resztę, a orkiestra spisyuje się bez zarzutu.

Michał Kondracki

Uwaga!

Zwracamy uwagę naszych Czytelników na ogłoszenie „Darmo na próbę” zamieszczone w dzisiejszym numerze naszego pisma, gdyż każdy z Czytelników zmian za to może otrzymać bezpłatnie doskonały nożyk do gołenka „Grom Extra Cienki”.

PODRÓŻUJ SAMOLOTEM

JACEK BRZEZINA

70)

TOWARZYSZ NR. 103

POWIEŚĆ

Przejechali w bród małą rzeczulkę, nad którą Kurdyjki, przybrane w barwne stroje, w turbanach na głowach i z niesłoniętymi twarzami, otoczone gromadą wrzeszczących dzieciaków, prały bieliznę, i wjechali na czyste i szerokie uliczki Sandz Boulaghu, by zatrzymać się przed jakąś czajkhaną na południowy positek.

Młode wino, niezły szaszłyk, zdjęcie na tle dwóch autentycznych dzików hałasujących po ogródku — i znowu ruszyli w drogę. Nie było właściwie potrzeby zbyt się śpieszyć, jechali bez celu, lecz Good jakoś dziwnie wszystkich poganiał.

Za samym miastem zwróciło ich uwagę stado ptactwa siedzące na starym cmentarzu.

Na ogólną prośbę Good zatrzymał samochód. Wysiedli, by obejrzeć oryginalny widok. Wśród kupy kamieni, rozgrzebując jakieś ludzkie czy zwierzęce szczątki, poruszała się zbita masa może pięćdziesięciu wspaniałych sępów i białych orłów. Olbrzymie, przeszło metrowej wysokości ptaszyska, nie reagując na niedaleką obecność ludzi, spokojnie dziobały porożewlekane na wielkiej przestrzeni jakieś kości i mięsa. Gołe szyje sępów otoczone puszystym kołnierzem, rasowe profile orłów górskich...

— Bo nie wytrzymam! — mruknął Freddie sięgając po rewolwer. Wstrzymał go Good

— Daj spokój, szkoda naboju. Downing spojrzął nań spod zmrużonych powiek i pozwolił wsadzić rewolwer z powrotem do kieszeni.

— Aha! — rzekł spokojnie. — Teraz rozumiem.

Jeden Dżawachow słyszał tę rozmowę. Zmarszczył brwi, zając jak gdyby w sobie jej treść. Zaczął żałować, że wybrał się na tę wycieczkę. Miał niezbyt dobre przeczucie... W każdym razie o rewolwerze Freddiego nie zapominał. „A i Good pewnie musi mieć przynajmniej jeden” — myślał zastanawiając się głęboko nad dalszym planem podróży. Wreszcie zdecydowanym krokiem podszedł do samochodu i podniósł maskę.

— Co robisz, Igor? — spytał Good ujrzawszy Dżawachowa nachylonego nad odsłoniętym motorem.

— Coś mi się wydało, że w łożysku jest mało oliwy. Ostatnio motor podejrzanie stukał.

Good nachylił się i wyciągnął długi pręt.

— Rzeczywiście — mruknął oglądając mokry koniec drutu. — Trzeba będzie dobrać.

Wąską i krętą serpentyną dostali się na szerokie płaskowzgórze. Zaczął dąć zimny, przenikający na wskroś wiatr. Panie wyciągnęły plety i swetry, panowie butelki whisky i koniak.

— Dotychczas spijaliśmy whisky tylko dla ochłody! — zaśmiał się Freddie. — Trzeba się więc napić na rozgrzewkę! Rozległ się głośny bulgot płynu wlewano go do gardła.

Wokoło ciągnęły się uprawne pola. Gdy na nizinach i w dolinach kończono już żniwa, tutaj zboże dopiero dojrzewało. Na całej przestrzeni, pozbawionej miedzi i rowów, falował jeden olbrzymi łąn wysokości może trzydziestu centymetrów. To było wszystko. Żółto-brązowy jęczmień i ani śladu jakiegokolwiek zieleni, ani śladu ludzkiego życia.

— Wioski i osiedla ludzkie pochowane są w głębokich

jarach objaśnił znowu znający te strony Dżawachow. — Chronią się tam od wiatru i chłodu, panującego stale na tych wyżynach.

Wśród świstu dmącego wiatru zaczął zapadać zmrok. Złowieszczą czerwona kula słoneczna schowała się już za majaczące na horyzoncie szczyty. Różowocień nieba bladeja, przechodząc poprzez jasny błękit w ciemny granat usiany milionami gwiazd. Chłód stawał się coraz bardziej przejmującym.

Droga zaczęła się zlewać z szarością otoczenia. Czas było zapalić światła. Jednak usiłowania Gooda, by to uczynić, spełzły na niczym. Zatrząsnął samochód kłnąc pod nosem.

— Co się stało? — zerwała się oburzona z pół snu Nikolewa.

— Bandyści... uuuuuuuu! — wrzasnął Freddie, robiąc jakieś gwałtowne ruchy, mające oznaczać chęć ucieczki z samochodu.

Nikolewa narobiła takiego krzyku, że aż Good się rozłochał.

— Dałbyś spokój głupim żartom! — mruknął do Downinga.

Ten wzruszył ramionami i wtulił się w głębi siedzenia.

„Pobawić się nawet nie dadzą”.

Good z Dżawachowem poczęli majstrować coś przy motorze świecąc sobie kieszonkowymi latarkami.

— Co się stało? — spytała Joan, wychodząc z samochodu.

— Izolacja się popsuła!

— Naprawicie?

Nie odpowiedzieli zajęci szukaniem uszkodzonego miejsca. Trwało to długo. Chłód nocy dokuczał im coraz bardziej. Panie, skulone we wnętrzu samochodu, wyraźnie trzęsły się z zimna pod stopami płaszczy i męskich marynarek.

(D. c. n.)